

Montaż na platynę.
Bez Haliny Prugar-Ketling
nie mieliśmy „Ziemi
obiecanej” i „Noża w wodzie”
– s. 8-10

Czułe spojrzenie i aktorski
blask. O filmie „Fluidy”
Marii Wider
– s. 3

#01

Gazeta Festiwalowa
51. Festiwal Filmów
Fabularnych w Gdyni
21.09.2026

Festiwalowa



Witajcie
w Gdyni!



FESTIWAL
POLSKICH
FILMÓW
FABULARNYCH



DZIENNIK
BAŁTYCKI

Festiwalowa

Dwie jubilatki

MATEUSZ DEMSKI, REDAKTOR NACZELNY

To wydanie gazety festiwalowej jest wyjątkowe z wielu powodów. Zmieniamy się, a w zasadzie wracamy do źródeł – do długich form, do długich rozmów, do tekstów krytycznych i polemicznych. W tym roku gazeta stworzona będzie z żywiołu rozmowy, festiwalowego paplania i drobnych sprzeczek po seansach. Chcemy na nowo zadać pytania o siłę i słabości polskiego kina, jego walory i bolączki. Możecie czytać nas codziennie w papierze i w serwisie festiwalgdynia.pl.

W każdym numerze na stronie trzeciej przeczytacie o najciekawszych debiutach tegorocznej edycji festiwalu – przyjrzymy się, z czym do polskiego kina wchodzi młode twórczość i twórcy, z jakimi gatunkami eksperymentują i czym nas zaskakują. Na stronie siódmej – oddajemy głos twórcom filmów krótkometrażowych, którzy swoimi słowami opowiedzą o prywatnych inspiracjach oraz procesie twórczym. W tym numerze dowiecie się, że niedaleko pada krótki film o macierzyństwie od albumu „Honeymoon” Lany Del Ray.

Ten numer jest wyjątkowy również przez swoje dwie wyjątkowe bohaterki. Pierwsza – jubilatka, która świętuje setkę. Zachwyca się nią cały kraj, a teraz również i świat. Trafiła na listę UNESCO. Niepodzielnie dzierży tytuł „najszczęśliwszego miasta w Polsce”. Gdynia to nasza duma, nasza „polska Floryda”, nasza coroczna festiwalowa przystań.

– Gdynianie bardzo kochają swoje miasto – zauważa Aleksandra Boćkowska, autorka książki „Gdynia. Pierwsza w Polsce”. Przyznaję, że zaproszenie jej na łamy pierwszego numeru było ryzykowne. Książka nie przypadła do gustu wszystkim Gdyniankom i Gdynianom, pojawiły się głosy, że nie godzi się, by o ich mieście pisała przybyszka. Jestem jednak przekonany, że pewne rzeczy lepiej widzieć z zewnątrz niż z bliska.

Druga nasza bohaterka, to niemal równolatka Gdyni, zaledwie trzy lata młodsza. Brała udział w powstaniu warszawskim. Po wojnie szukała pomysłu na siebie i usiadła za stołem montażowym. „Nóż w wodzie”, „Trzecia część nocy”, „Ziemia obiecana”, „Człowiek z żelaza”, „Piłkarski poker” – tych filmów nie byłoby bez niej. Halina Prugar-Ketling odbierze w tym roku Platynowe Lwy za nieoceniony wkład w historię polskiego kina. Po raz pierwszy ta nagroda trafia do montażystki.

Pani Halina ugościła mnie przed festiwalem w swoim mieszkaniu i zabrała w podróż po wspomnieniach. Te najsilniejsze związane są z Andrzejem Wajdą. Najtrudniejszy wspólny film – „Wesele”. Najpiękniejszy – „Panny z Wilka”. Wajda, choć zawsze zadowolony z efektu, ponoć nigdy nie pochwalił jej publicznie. W tym roku wszyscy nadrabiamy tę zaległość. Postuluję każdy toast na festiwalu wznosić za panią Halinę, a najlepiej w trybie przyspieszonym postawić jej pomnik przed GCF-em. Pani Halino, ukochana Gdynio, żyjcie nam kolejne sto lat!

Gdzieś w Paryżu czy w Londynie Może lepiej, piękniej być, A ja kocham moją Gdynię, Tylko w Gdyni pragnę żyć

FRAGMENT TEKSTU PIOSENKI „GDYNIA I JA” AUTORSTWA ADOLFA WIKTORSKIEGO, DYREKTORA ZESPOŁU PIEŚNI I TAŃCA „DALMOR”



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Jak wyglądają przygotowania do festiwalu? Lepiej nie pytajcie. Pokażemy wam tylko kawałek, bo tego i tak nie da się opisać. Festiwalowe torby spakowane przez naszych wolontariuszy, a to oznacza jedno: 51. FFFF w Gdyni czas zacząć!

WERNISAŻ WYSTAWY
„ANDRZEJ WAJDA. WSPOMNIENIE”

17:00 – Galeria, Gdynskie Centrum Filmowe

Fotografie Renaty Pajchel to świadectwo, jaki Wajda był przy pracy – skupiony, uważny, oddany. Wybitna fotorafistka, jak nikt inny, potrafiła uchwycić momenty graniczne na jego planie – napięcie między ostatnimi szlifami a akcją, ciszę poprzedzającą klaps i wszystko to, co wydarza się poza kadrem.

WYSTAWA
„MISTRZOWIE ÉCOLE DE PARIS”

BanGlob Marina / Yacht Park,
ul. Arkadiusza Rybickiego 4A

Tamara Lempicka, Mojżesz Kisling, Mela Muter, Henryk Hayden i Henryk Epstein na jednej wystawie. W tle opowieść o więzach, jakie symbolicznie połączyły Paryż i Gdynię. O dwóch miastach, które w swoich złotych latach symbolizowały odwagę, nowoczesność i otwartość na świat. École de Paris to epoka wolności i szukania nowych form.

POKAZ FILMU
„MOJA GDYNIA 100”

10:30 – Teatr Muzyczny im. Danuty Baduszkowej, Scena Kameralna

Historia stu lat Gdyni opowiedziana głosami jej mieszkańców. Osobiste wspomnienia i pamięć tworzą obraz miasta, w którym spotykamy się dzisiaj. Pokazowi towarzyszy spotkanie pod hasłem „Intymna kronika miasta w filmach prywatnych – znaczenie archiwów filmowych w budowaniu pamięci miasta”.

PIERWSZY POKAZ
W RAMACH KONKURSU KRÓTKICH METRAŻY

11:00 – Teatr Muzyczny im. Danuty Baduszkowej, Scena Nowa

Na pierwszy ogień pięć tytułów nagradzanych w kraju i poza jego granicami: „Dziwnie być człowiekiem” Jana Grabowskiego, „Honeymoon” Jakuba Wendy, „Spiritus Sanctus” Michała Toczka, „Styl do wolny” Kacpra Nowaka-Gocławskiego oraz „Wódka, zakąska i czyste piękno” Katarzyny Kosajdy.

Wszystkie konsystencje dorastania

WERONIKA ZARZECKA

Świat Marii Wider gęstnieje niespiesznie. Sklejony skrzepniętą krwią ze świeżej rany na łydce i wygazowanym piwem z plastikowego kubka na lokalnym festynie. Płynie między kaskadami wszystkich znanych nam płynów młodości, aż płynie wraz z nimi, pośród morza zatopionych w poszewce łez, potu, co to zbiera się w letnie wieczory pod stójką kołnierza, śliny dzielonej między spieszonymi ekscytacją ustami i lekimi powodziami bitej śmietany na chrupiącej tarczy gofra.

Tak płynna młodość jest boleśnie nieprzewidywalna. Targają nią cykliczne przypływy ekscytacji i gorączkowe odpływy resztek nadziei, wprost na plaży zaśmiecone całą samotnością, jaką tylko pomieścić może w sobie siedemnastoletnia Nina.

Wszystko w tym filmie pulsuje tym rytmem: bezwzględny napieraniem fali i następującym po nim, bezszelestnym odsłonięciem dna. Młodość u Wider nie jest statycznym portretem, lecz nieustannym ruchem wahadłowym pomiędzy stanem wrzenia a nagłą, stopklatką lodowatej alienacji.

We „Fluidach” Nina i Miki szukają w tym bezgranicznym upłynnieniu stałości – lub przynajmniej form stałego fundamentu. A przeciwko nim jest wiele, bo i poszukiwanie mitycznego „ja”, czy rozklekotana relacja z ojcem, który tak jakby się stara, ale wiadomo czym jest piekło wybrukowane, szczególnie kiedy ciągnie się za kimś niezgrabny cień splamionego w przeszłości zaufania.

Zamiast sielankowego, wakacyjnego pojednania dostajemy więc, przesiąknięte stereotypową dla kina gatunkowego nastoletnią inicjacją, zderzenie z pachnącą stęchłym domkiem letniskowym mazurską rzeczywistością i obcością człowieka, który zdążył już zapomnieć, jakim językiem porozumiewać się z własnym dzieckiem.

Dwa miesiące okazują się czymś o wiele większym niż nudną tułaczką w kolorowych tenisówkach – to szarpanina gwałtownych emocji i konfrontacja z tymi, które pozostawały zakopane najgłębiej. To walka o zachowanie na tej wściekle pędzącej karuzeli choćby odrobiny sprawczości.

Na pierwszy plan bezpardonowo wparowują młode twarze, które choć akompaniowane przez bardziej doświadczonych Romę Gąsiorowską i Jacka Borcucha, kradną całą uwagę widza i są pulsem tej de facto prostej historii. Robią to zresztą z beczelną łatwością nowicjuszy.

Julia Totoszko nosi w sobie Ninę tak, jakby знаła ją od dziecka, nie od castingu – każde jej spojrzenie jest jednocześnie atakiem i obroną, każde milczenie, gdy zaciska usta na kolorowych wejpach, waży tyle, co najbardziej skomplikowany monolog, i to ona, nie scenariusz, decyduje, kiedy fala uderzy, a kiedy się cof-

nie. Rozbudza ekran nadając całej treści „Fluidów” polotu, tempa i może nawet większej niż aspirowano głębi i temperamentu.

Obok niej Wiktoria Węglowska jako Miki, płynie zupełnie innym nurtem – cichszym, głębszym, mniej widowiskowym, momentami niedopowiedzianym, ale granym z wielką precyzją w tej urzekającej minimalności.

Jan Sałasiński w roli Kamila, dorzuca do tej mieszanki coś, czego nie da się wyreżyserować – dialog brzmiący tak, jakby ktoś go nie tyle na-

gdzie każde słowo jest o milimetr za krótkie, a spojrzenie o jotę przeciągnięte, zaczyna się dziwnie rymować z tym, co dzieje równolegle na linii ojciec-córka. Te dwie relacje tną film dokładnie tym samym, szarpanym rytmem: jedno napędza drugie i tak w kółko, w psychopatycznym cyklu. Aż człowiek ma ochotę wysiąść z tego pociągu, ale drzwi są zacięte na amen. Tu lecą iskry, które postaci Niny nadają konturów. Chce się w nią wierzyć, chce się widzieć więcej niż zaledwie archetyp, zbiór zachowań tożsamy z wynikiem

klisz, a polskie kino inicjacyjne już w ogóle nie potrafi wysiąść z tego oklepanego kajaka: jezioro, Mazury, chybotliwe deski pomostu i taniec w wysokiej trawie pod koniec sierpnia.

Można by kręcić nosem, że to wizualny manewr z podręcznika festiwalowej elegancji, ale gdy patrzy się na te konkretne mazurskie plenery Miłosza Kasiury skąpane w specyficznym, nieco nostalgicznym świetle, trudno nie ulec temu plastycznemu nastrojowi. To kino, które bardzo chce być dotykane, które próbuje zamknąć w ramie letnie



FOT. MATERIAŁY PRASOWE/STUDIO NIJKA

„Fluidy”, reż. Maria Wider. Film można oglądać w ramach Konkursu Głównego w Gdyni

pisał, co podsłuchiwał na szuwarach pod mazurskim pomostem. I to on, chłopak z drugiego planu, daje całej tej płynności jedyny stały ład, przy którym można zacumować.

W ich duecie z Totoszko dzieje się najprzejmniejsza dla oka magia – rozmawiają tak urokliwie naturalnie, że wymykają się tej nadętej koturnowości, którą jak warstwą grubego gipsu polskie kino okłada zazwyczaj nastoletnie dramaty.

Cały ten układ Niny z Kamilem, ta gęsta od niedopowiedzeń i lepka od potu chemia,

wyszukiwania w Google terminu „zbuntowana nastolatka”.

Dorośli dla gatunku coming-of-age są tu natomiast, niezmiennie, jak kotwica rzucona gdzieś w głębi kadru, żeby wiadomo było, skąd się ta nastoletnia burza w ogóle wzięła. Oboje dryfują jak boje, gdzieś w tle tej powodzi, ale nawet ich doświadczenie nie pozwala im porządnie się w rolach zanurzyć, choć aktorско to przecież wilki morskie.

Mogłoby się wydawać, że wszystkie filmy o dorastaniu czerpią dokładnie z tej samej puli

popołudnie z całym jego parzącym bagażem, nawet jeśli czasem gubi po drodze oddech samej opowieści.

A jednak, gdy zapalają się światła i wychodzimy wprost we wczesnojesienną pulę chłodnego przywitania, czuć po tym filmie zaskakująco ciepły ślad. Ma w sobie tyle rzemieślniczej uczciwości, czułego, nienachalnego oka i aktorskiego blasku, że warto było poczekać, aż ta niespokojna debiutancka fala wyrzuci go wreszcie na festiwalowy, gdyński brzeg.

- Gdyńianie bardzo kochają swoje miasto. Są z niego dumni, wielu na pytanie o pierwsze słowo kojarzące im się z Gdynią, odpowiada „miłość” – mówi Aleksandra Boćkowska, autorka książki „Gdynia. Pierwsza w Polsce”.

PIERWSZA W POLSCE

MATEUSZ DEMSKI

Mateusz Demski: Dlaczego Gdynia to ta „pierwsza w Polsce”?

Aleksandra Boćkowska: Bo pierwsza od strony morza. Bo najbardziej zadowolona z siebie ze wszystkich miast – co najmniej w Polsce. Bo faktycznie w wielu dziedzinach, przynajmniej przez jakiś czas, liderka. W dwudziestoleciu międzywojennym zbudowana w rekordowym tempie. Miała być zapleczem dla powstającego, pierwszego w Polsce, portu, okazała się – jak pokazał czas – pierwszym w Polsce miastem zaprojektowanym według zasad modernizmu.

Kiedy, pracując nad książką, przeglądałam archiwalne gazety, ciągle trafiałam na frazę „Gdynia jako pierwsze miasto w Polsce” i dalej rozwijano: weszła do grona miast – członków World Trade Center Association, prywatyzowała komunalne przedsiębiorstwa, brała na siebie obowiązki państwa, przyciągnęła fabrykę Coca-Coli, pozyskiwała dotacje z Unii Europejskiej na długo przed integracją Polski z UE, kupowała elektryczne autobusy i reklamowała się na ulicach innych miast.

Słowem: wszystko było pierwsze właśnie w Gdyni.

Gdynia jest mistrzynią w autopromocji. Fraza „Gdynia jako pierwsze miasto w Polsce” tak weszła w krew urzędnikom, że używali jej przy każdej okazji. Powtarzali jak refren, co po jakimś czasie przyniosło odwrotny do zamierzonego efekt. Kilka lat temu aktywiści stowarzyszenia „Bryza”, które krytycznie przygląda się władzom samorządowym, założyli na Facebooku stronę „Gdynia jako pierwsze miasto w Polsce”, na której punktowali wpadki.

Inna sprawa, że Gdynianie, niezależnie od tego, czy krytykują samorząd, czy nie – swoją drogą, polityczne debaty są tu niezwykle gorące – bardzo kochają swoje miasto. Są z niego dumni, wielu na pytanie o pierwsze słowo kojarzące im się z Gdynią, odpowiada „miłość”.

Początkowo ten niesamowity patriotyzm lokalny wydawał mi się trochę groteskowy. Z czasem, gdy poznałam jego źródła, traktuję z dużym szacunkiem.

W jednym z wywiadów mówiła pani, że Gdynia również jako pierwsza weszła do Unii Europejskiej.

To oczywiście skrót myślowy, ale rzeczywiście Gdynia aspirowała do europejskości od początku lat 90. Nawiazywano kontakty

z samorządami z zachodnich krajów, prezydentka Franciszka Cegielska od 1992 roku była delegatką do Rady Europy, skutecznie ubiegano się o środki przedakcesyjne, pierwszy przelew przyszedł, o ile się nie mylę, w 1994 roku, dekadę przed wejściem Polski do Unii. W 2002 roku Gdynia dostała Nagrody Europy i z tej okazji prezydent Wojciech Szczurek zaprosił mieszkańców na skwer Kościuszki, by zapozowali do wspólnego zdjęcia. Przyszło 17 tys. ludzi, razem śpiewali „Ode do radości”. Wkrótce w referendum gremialnie poparli akcesję.

Europejskości sprzyjało położenie nad Bałtykiem i współpraca z krajami skandynawskimi, ale również innymi zachodnimi. To owocowało po pierwsze, kontaktami, po drugie, umiejętnościami, np. pisanie wniosków o fundusze, po trzecie, otwarciem na idee. O ograniczeniu ruchu samochodów, zrównoważonym rozwoju i ekologii mówiono w Gdyni dużo wcześniej, niż te tematy stały się modne. Inna sprawa, co z tego mówienia wynikało.

Trzeba dodać, że Gdynia, tak jak inne miasta portowe, już w PRL była bardziej zagraniczna niż reszta kraju. W prawie każdej rodzinie był marynarz. Dzięki temu to tutaj w pierwszej kolejności docierały ciuchy i muzyka z Zachodu. Ludzie z całej Polski przyjeżdżali do komisów na czarownej ulicy Świętojańskiej. Prof. Jerzy Kochanowski, który badał czarny rynek w Polsce Ludowej, sprawdził, co i w jakich latach przemycano na Wybrzeże. Wiele z tych przedmiotów to były najróżniejsze nowinki elektroniczne, plastik, symbole nowoczesnego życia.

Gdynia już w założeniu miała być oknem na świat.

Pomysł na budowę portu w Gdyni narodził się na początku lat 20. XX wieku, w odpowiedzi na wzrost wpływów niemieckich w Wolnym Mieście Gdańsku. Port był wielkim projektem gospodarczym, a przy okazji propagandowym. Gdynia, wówczas 1200-osobowa kaszubska wioska, bardziej rolnicza niż rybacka, miejscami letniskowa, w kilkanaście lat przemieniła się w 120-tysięczne miasto.

W śródmieściu wytyczono logiczny układ urbanistyczny, który właśnie doczekał się wpisu na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO, ale poza nim panował chaos. Z jednej strony rozwijał się port, a w śródmieściu wraz z kamienicami rosły fortuny. Z drugiej – przybawało dzielnic biedy, gdzie budujący ten sukces robotnicy mieszkali w strasznych warunkach. Grzegorz Piątek opisał to wnikliwie w książce „Gdynia obiecana”. Najkrócej mówiąc – Gdynia rosła w chaosie i kon-

trastach. Bogata i biedna, ładna i brzydka.

Ale mimo wszystko była powodem narodowej dumy.

To był niewątpliwie patriotyczny zryw. Eugeniusz Kwiatkowski, minister przemysłu, później wicepremier, który wymyślił ten projekt, od początku stawiał Gdynię na piedestale. „Powstał więc pierwszy żywy, ruchliwy i realny pomnik Polski nad morzem, który się zwie: Gdynia. Ten pomnik będzie budowany wiecznie i wiecznie będzie potężniał i rozrastał się” – mówił.

Z rodzinnych opowieści wiem, że przed wojną do Gdyni przyjeżdżały wycieczki szkolne. Moja ciocia, urodzona na początku lat 30., pamięta, że z klasą oglądała, jak Gdynia się rozbudowuje. Z kolei urodzona już po wojnie mama opowiadała, że w jej domu Gdynia była otoczona patriotycznym kultem.

Wtedy już sytuacja diametralnie się zmieniła. Polska odzyskała Gdańsk i musiała udowodnić, że na to zasłużyła. Gdańsk był zrujnowany, więc wszystkie siły, również te symboliczne, poszły w jego odbudowę. Gdynia – jako duma II RP – została uznana w PRL-u za symbol sanacyjnego zła. Zdegradowano ją, zabrano stąd wszystkie ważne instytucje i urzędy, rozważano nawet przyłączenie do Gdańska. To się nie udało. Co ciekawe, miejscowe władze partyjne przestrzegały przełożonych, że Gdynianie nigdy się na to nie zgodzą.

Bo choć po wojnie zmieniła się struktura społeczna, nie wszyscy wojenni wysiedleńcy wrócili, za to przyjechali przesiedleńcy z Kresów, wciąż pielęgnowano miłość do Gdyni. Bez wątplenia degradacja pomogła w utrwalaaniu dumy. Rezultat jest taki, że do tej pory granica w Kolibkach między Gdynią a Sopotem, wciąż jest wyczuwalna. Jak dawniej między Polską a Niemcami. Narzucone z góry animozje jakoś się przyjęły. Po 1989 r. nowi samorządowcy zapisali w programie wyborczym: „odzyskanie dumy”. Realizowali ten postulat z rozmachem.

W Polsce wciąż chętniej kierujemy oczy na Gdańsk niż na Gdynię. Znamiennym przykładem są strajki z 1970 roku. Janek Wiśniewski, symbol masakry grudniowej, zginął właśnie w Gdyni, a nie w Gdańsku, co niektórzy zdają się mylić.

Wydaje mi się, że akurat Janek Wiśniewski jest kojarzony z Gdynią. Choćby dlatego, że film Antoniego Krauzego „Czarny Czwartek. Janek Wiśniewski padł” od lat przypomina w grudniu telewizja.

Historia gdyńskiego Grudnia jest odmienna od gdańskiego. Tam

strzelano do robotników, którzy wyszli na ulice protestować. W Gdyni strzelano do ludzi idących do pracy. Po kilku dniach zamieszek w Gdańsku i porozumieniach w Gdyni, wicepremier Stanisław Kociołek w lokalnej telewizji nawoływał do powrotu do pracy, zapewniając, że na ulicach jest już spokojnie i bezpiecznie. Ludzie pojechali i tuż przy stacji SKM Gdynia Stocznia, czekało na nich ZOMO i wojsko. Padły strzały i już rano zginęło 11 osób, w tym Zbigniew Godlewski, upamiętniony w piosence jako Janek Wiśniewski. Koledzy, na znalezionych po drodze drzwiach, zanieśli go na Świętojańską.

Pochodów było kilka, ale ten najlepiej utrwalił się w zbiorowej pamięci. Na Świętojańskiej, przy urzędzie miasta, znowu doszło do strzelaniny. Zginęli kolejni młodzi mężczyźni. W sumie osiemnaście osób. Wśród nich było dwóch piętnastolatków, którzy znaleźli się tam przypadkiem – jeden szedł do matki, drugi wyszedł zobaczyć, co się dzieje.

Jednak w pamięci Polek i Polaków stolicą sprzeciwu wobec PRL-u w zbiorowej pamięci pozostaje Gdańsk. Przyczyna jest prosta: historię opowiadają zwycięzcy. W 1980 roku, gdy powstawała Solidarność, wszyscy przyjechali do Gdańska. W następnej dekadzie budowali nową Polskę i opowiadali swoją historię. Stocznia gdyńska pozostała pod wpływem Andrzeja Gwiazdy czy Kornela Morawieckiego, którzy po 1989 roku znaleźli się na marginesie.

Jednak Gdynianie pamiętają o swoim Grudniu. Co roku 17 grudnia obserwuję, jak miasto się zmienia. Nie zamiera w żałobie, ale zawsze płoną znicze wzdłuż trasy pochodu, zawsze są uroczystości, w których biorą udział nie tylko kombataneci, ale harcerze, uczniowie, młodzi ludzie.

„W głębi ładu uważamy Trójmiasto za spójny organizm. [...] Dłuższy pobyt pozwala wychwycić animozje” – pisze pani w książce.

Ostatnio przy okazji Święta Wojska Polskiego spotkali się w Gdyni premier z prezydentem, obaj z Gdańska, obaj kibicujący Lechii. Jak wiadomo, politycznie skonfliktowani, nagle zaczęli dworować sobie, że przyjechali do Gdyni, co nieczęsto się zdarza. „Pan prezydent wie, o co chodzi” – mówił Donald Tusk, poklepując Karola Nawrockiego po ramieniu.

„Gdynia, tak jak inne miasta portowe, już w PRL-u była bardziej zagraniczna niż reszta kraju”

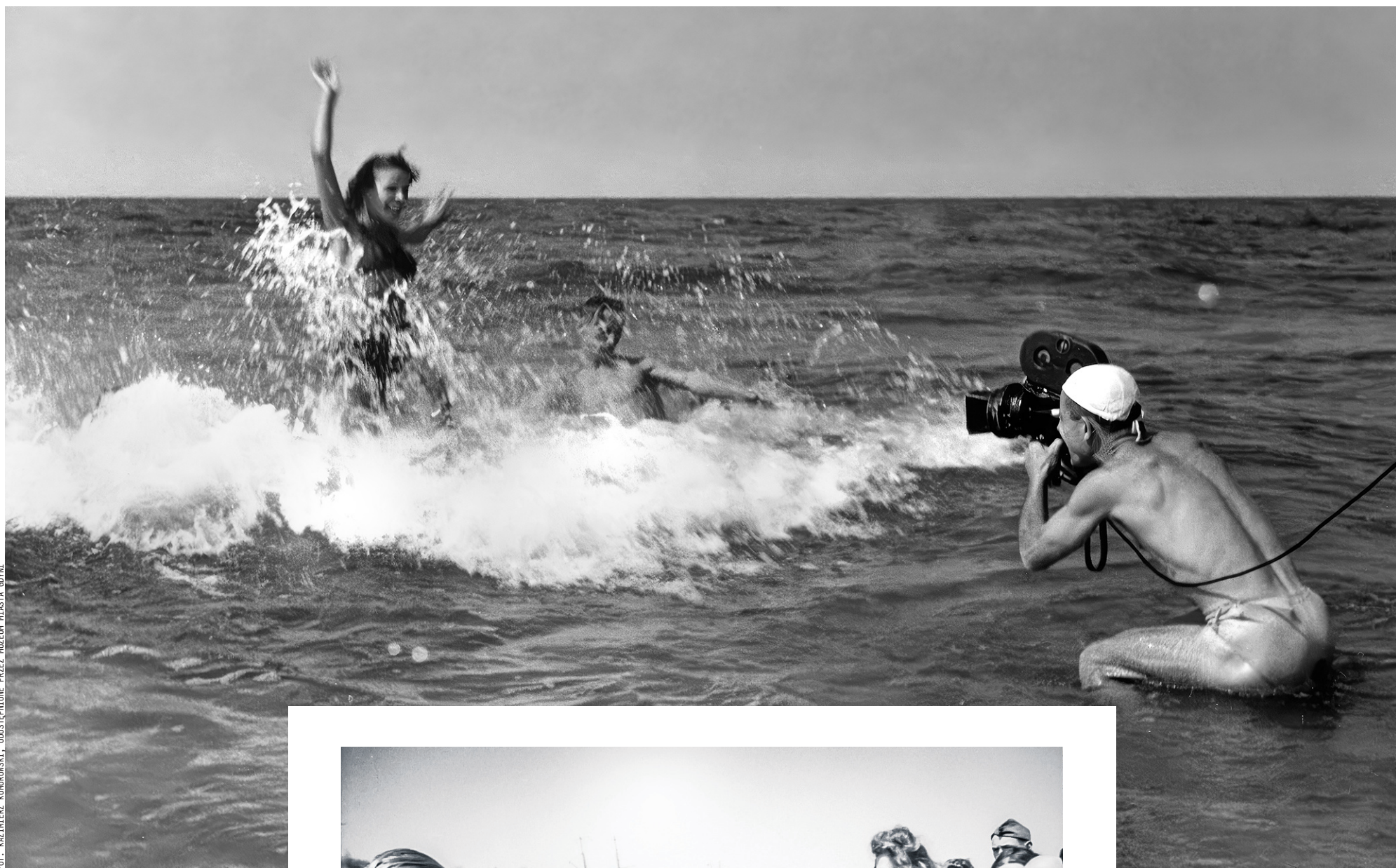
„Po wojnie Gdynię zdegradowano, zabrano stąd wszystkie ważne instytucje i urzędy, rozważano nawet przyłączenie do Gdańska. Gdynianie nigdy by się na to nie zgodzili”

„Pomysł na budowę portu w Gdyni narodził się
na początku lat 20. XX wieku. To był wielki projekt
gospodarczy, a przy okazji propagandowy”



FOT. MACIEJ SCHUL, UDOSTĘPIONE PRZEZ MUZEUM MIASTA GDYNI

Panorama Gdyni
od strony Działek
Leśnych



FOT. KAZIMIERZ KONDRONSKI, UDOSTĘPNIŁ PRZECZ MUZEUM MIASTA GDYNI

Kamerzysta filmujący parę na wybrzeżu Gdyni



FOT. EDMUND ZDANOWSKI, UDOSTĘPNIŁ PRZECZ MUZEUM MIASTA GDYNI

Pożegnanie żaglowca Dar Pomorza

“ “ “

To dobra ilustracja tych animozji. One zostały narzucone przez historię i politykę. Trwają, ale wydaje mi się, że głównie – jeśli nie liczyć kibiców Lechii i Arki – w anegdocie i stereotypie. Czasem zdarza mi się usłyszeć coś okropnego od Gdańszczan o Gdyni i odwrotnie. Gdyniński kaletnik powiedział mi kiedyś, że w Gdyni ludzie są przyjaźni, bo to polskie miasto, a do Gdańska zjechała się hołota nie wiadomo skąd.

Na co dzień jednak mam wrażenie, że współpraca się zacieśnia. Znam mnóstwo osób, którzy w jednym mieście mieszkają, w drugim pracują i między nimi krąży. W Gdańsku dzieje się więcej rozrywkowo, imprezowa strona miasta jest dużo żywsza. Gdynianie też z tego korzystają. Ale kiedy coś fajnego dzieje się w Gdyni, przyjeżdżają Gdańszczanie.

Szczył, popularny raper, ochrzcił Gdynię mianem „Polskiej Florydy”. Do tego Open'er Festival i Festiwal Polskich Filmów Fabularnych. Zapytam wprost: co trzeba zobaczyć w Gdyni?

Nie wygłupiamy się i idziemy nad morze. Może nas interesować modernizm Grabówka, ale są priority. Gdynia słynie z tego, że nad morze schodzi się prosto z miasta. W Krakowie są planty, gdzie każdy spotyka każdego, tutaj takim punktem jest Bulwar Nadmorski. To wyjście nad morze doceniło zresztą UNESCO – nie tylko moderni-

styczną architekturę, ale też nadmorski rozmach.

Konieczne trzeba zajrzeć do Galerii Przyptyw, która mieści się w Bankowcu – słynnym budynku przy 3 Maja, ikonie modernizmu. W Muzeum Miasta Gdyni trwa ciekawa wystawa poświęcona Kazimierzowi „Kachowi” Ostrowskiemu, zapomnianemu trójmiejskiemu artyście. A jeśli będzie czas, to warto przejść na drugą stronę torów, pochodzić sobie po Działkach Leśnych, Grabówku i zobaczyć trochę inny modernizm. Bliżej tam do lasu. Gdynia, jakkolwiek górnolotnie by to nie zabrzmiało, jest miastem wtopionym

między las i morze. Jedna moja koleżanka mawia: „mieszkam w mieście, którego dzielnice są poprzetykane lasami”.

Aleksandra Boćkowska – dziennikarka, redaktorka, reporterka. Członkini Unii Literackiej. Autorka książek „To nie są moje wielbłądy. O modzie w PRL”, „Księżyc z peweksu. O luksusie w PRL”, „Można wybierać. 4 czerwca 1989”, „Gdynia. Pierwsza w Polsce”, za którą otrzymała nominację w konkursie im. Arkadego Fiedlera o Nagrodę Bursztynowego Motyla. Od 2021 roku sprawdza, jak to jest mieszkać w Gdyni.

W Muzeum Miasta Gdyni można oglądać wystawy zorganizowane z okazji 100. urodzin miasta, wśród nich m.in. wystawę „Światło Gdyni”. To wyjątkowa podróż przez dawną Gdynię, a to za sprawą unikatowych fotografii autorstwa małżeństwa Bolesławy i Edmunda Zdanowskich, organizatorów Liceum Fotografiki Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych, którą przekształcono w Dział Fotograficzny w państwowym Liceum Sztuk Plastycznych w Gdyni Orłowie. W zasobach Muzeum Miasta Gdyni znajduje się ponad 700 negatywów i ponad 400 odbitek pozytywnych autorstwa Edmunda Zdanowskiego, przedstawiających Gdynię – port i miasto – w pierwszym dwudziestolecu po II wojnie światowej.

JAKUB WENDA O SWOIM FILMIE „HONEYMOON”

W swoich filmach często wracam do ludzi, którzy są ze sobą blisko. Chyba dlatego, że kiedy byłem młodszy, sam chciałem mieć z kimś taką relację. Kogoś, z kim można robić wszystko, mówić sobie wszystko i po prostu zawsze być razem. Kiedy najbardziej tego potrzebowałem, nie miałem takiej osoby. Może dlatego zostało mi to do dziś i lubię szukać takich relacji w kinie. W „Honeymoon” po raz pierwszy chciałem przyjrzeć się tego rodzaju bliskości między matką a synem.

Marina urodziła Huberta, kiedy miała piętnaście lat, więc właściwie trochę dorastali razem. Są rodziną, ale są też najlepszymi przyjaciółmi. Mają swoje żarty, wygłupiają się, słuchają tej samej muzyki. Chciałem, żeby było widać, że naprawdę lubią być razem.

Dużo myślałem przy tym o swojej mamie. Mieliśmy burzliwą relację, szczególnie kiedy byłem młodszy. Potrafiłem powiedzieć jej naprawdę okropne rzeczy, wiele razy przeze mnie płakała. Wtedy wydawało mi się, że to ja mam rację. Dzisiaj wielu z tych rzeczy żałuję. Im

dłużej pisałem o tych dwoje, tym częściej myślałem też o nas.

Nie chciałem patrzeć na Marinę i Huberta jak na problem do rozwiązania. Robią dla siebie dużo dobrego, są dla siebie ważni i naprawdę się kochają. Po prostu są ze sobą trochę za blisko.

Na początku głównym bohaterem filmu miał być Hubert. Było mi do niego bliżej. Łatwiej było mi zrozumieć jego egoizm, marzenia i lęk przed odrzuceniem. Nawet kiedy wyzywa Marinę i mówi jej okropne rzeczy, tak naprawdę próbuje powiedzieć coś zupełnie innego. Nie umie poprosić jej, żeby go nie zostawiała. Więc robi to w najgorszy możliwy sposób.

Z Mariną długo miałem większy problem. Trochę bałem się ją pisać. Huberta potrafiłem sobie wyobrazić od środka, a na Marinę chyba przez długi czas patrzyłem bardziej jak syn niż jak ona sama. W pewnym momencie zorientowałem się, że to ona

ma w tej historii dużo więcej do stracenia. I wtedy pomyślałem: czy matka może zostawić swoje dziecko?

Od tego momentu Marina coraz bardziej przejmowała film. Zastanawiałem się, czy marzenia, egoizm i wszystko to, co przeżywa się w okre-

sama. Ludzie w jej życiu przychodzili i odchodzili, a Hubert był jedyną osobą, która zawsze przy niej była. I chyba trochę wychowała go tak, żeby on nigdy jej nie zostawił.

Sporo rzeczy, które ostatecznie trafiły do Mariny, na początku należało do Huberta. W pierwszych wersjach był zupełnie innym chłopakiem. Kochał Lanę Del Rey, chodził w crop topie, a jego największym marzeniem był wyjazd do Stanów na jej koncert. Później obejrzałem „Mandrą” Seana Bakera i pomyślałem, że może to właśnie Marina powinna mieć w sobie więcej z tej energii. Nie musi być poważną, zmęczoną życiem matką. Może lubić się bawić, podobać się, czasem być niedojrzała i nadal czegoś chcieć.

Kiedy pracuję nad filmem, zawsze robię sobie playlistę z piosenkami, które oddają jego vibe. Pomyślałem o filmie przyszedł razem z piosenką „Hey Moon” Johna Mause. Wymyśliłem

scenę, w której Hubert śpiewa ją Marinie na karaoke. Przez długi czas była dla mnie sercem filmu. Mam tak właściwie przy każdym projekcie. Jest jedna scena, do której ciągle chcę wracać i dla której chce mi się dalej pisać.

Film długo nosił więc nazwę „hey moon!”. Z każdym kolejnym draftem okazywało się jednak, że na scenę karaoke jest coraz mniej miejsca, aż w końcu musiałem ją usunąć ze scenariusza. I wtedy „hey moon!” przestało mieć sens. Po drodze z filmu zniknął też wątek Lany Del Rey. Tego było mi szkoda, bo Lany słucham non stop. Chyba nie umiałem wyrzucić jej z tego filmu do końca. Dlatego Marina ma wytatuowane „Stargirl”.

Kiedy wiedziałem już, że „hey moon!” nie może zostać, pomyślałem, że przecież brzmi trochę jak „Honeymoon”. A jeden z albumów Lany nosi nazwę „Honeymoon”. Najpierw spodobało mi się to jako luźne nawiązanie, ale szybko zrozumiałem, że ten tytuł dużo lepiej pasuje też do Mariny. Z jednej strony szykuje się na honeymoon z Dave’em i nowe życie w Stanach. Z drugiej, dostaje jeden dzień z Hubertem i trochę niechcący to właśnie z nim przeżywa swój honeymoon.



Film „Honeymoon” Jakuba Wendy można zobaczyć w ramach Bloku 1 Konkursu Filmów Krótkometrażowych

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ORGANIZATORZY			WSPÓŁORGANIZATORZY		PRODUCENT
 Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego  FilMOTEKA Narodowa Instytut Audiowizualny  POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ Dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury Współfinansowanie: Polski Instytut Sztuki Filmowej			 NARODOWE CENTRUM KULTURY 		
 60 lat Stowarzyszenie Filmowców Polskich  PREZYDENT MIASTA GDYŃ  MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO					
MECENASI		SPONSOR GŁÓWNY	PARTNERZY STRATEGICZNI		
 Energa GRUPA ORLEN 		 INVEST KOMFORT	 Mercedes-Benz BMG Goworowski Autoryzowany dealer Mercedes-Benz  Dr Irena Eris  KGHM POLSKA MIEDŹ  PORT GDYŃ		
OGÓLNOPOLSCY PATRONI MEDIALNI					
 TVP  Jedynka POLSKIE RADIO  Trojka POLSKIE RADIO  VOGUE  BAZAAR  FILMWEB  zwierciadło  KINO  interia  POLSKA PRESS GRUPA					
LOKALNI PATRONI MEDIALNI			PARTNERZY GŁÓWNI		
 Radio Gdańsk  trojmiasto.pl  DB DZIENNIK BAŁTYCKI  TVP3 GDYŃSK			 HELIOS  KINO POLSKA  Gdynskie Centrum Filmowe Irena Łuczkiewicz		
PARTNERZY MEDIALNI			PARTNERZY		
 FILMOWY PISMO STOWARZYSZENIA FILMOWCÓW POLSKICH  ZAWSZE W GDYŃ  nasze miasto.pl  Urendy  GQ  pap POLSKA AGENCJA PRASOWA			 GENERALI INVESTMENTS  IMA INSTYTUT ADAMA MICKIEWICZA  FilMOTEKA Narodowa Instytut Audiowizualny  ZAPA		

Temat numeru

FOT. LUKASZ KMAP / STOWARZYSZENIE FILMOWCÓW POLSKICH

Serce do montażu

– Do montażu niepotrzebny jest talent, a smykałka –
mówi Halina Prugar-Ketling, wybitna montażystka,
laureatka Platynowych Lwów
na 51. Festiwalu Polskich
Filmów Fabularnych w Gdyni

MATEUSZ DEMSKI

Pierwsze, co przykuwa wzrok, to dywany. Nie leżą na podłodze, jak to zwykle bywa, ale wiszą tuż pod sufitem. Każdy jest ręcznie wyszywany. Układają się we wzory pełne detali.

Tkać zaczęła, kiedy przeszła na emeryturę, ale najróżniejsze talenty odzywały się w niej już za młodu. Chciała zdawać na architekturę, aktorstwo, w końcu poszła jednak na polonistykę.

Przypadek zdecydował, że usiadła przy stole montażowym.

Halina Prugar-Ketling jest dziś uznawana za najwybitniejszą montażystkę w historii polskiego kina.

– To było zaraz po powstaniu – wspomina. – Nasza rodzina mieszkała wtedy na Pradze. Wuj, który był kapitanem w „Parasolu” czy „Zośce”, już nie pamiętam, pomieszkiwał u nas. Któregoś dnia przyjechał do niego podwładny, młody żołnierz z Łodzi, który miał kontakt z Wytwórnią Filmową. Zapytał mnie, czy nie miałabym ochoty się u nich zatrudnić, bo akurat „Kronika Filmowa” przenosi się do stolicy.

I tak się zaczęło. Najpierw pracowała jako pomocnica montażysty, szybko jednak awansowała na asystentkę Wacława Kazimierczaka i Ludmiły Niekrasowej. W Warszawie nie było wtedy szkoły filmowej, wszyscy są zieloni, bez studiów. Profesorowie tacy jak Wohl, Bohdziewicz, Bossak przyjeżdżali do nich specjalnie z Łodzi dawać wykłady.

W pokoju siedziało sześć dziewcząt. Każda miała do opracowania ten sam temat, trzeba było coś szybko wymyślić. Kiedy została okrzyknięta genialnym dzieckiem montażu, miała 19 lat.

Ale wcześniej była wojna. W dniu, kiedy wybuchło powstanie, do ich mieszkania weszło kilku uzbrojonych chłopców. Zastali ją na podłodze, gdzie razem z koleżanką szyły ubranka dla lalek. Jeden zapytał tylko, na którą stronę wychodzi balkon.

Miała zaledwie piętnaście lat, kiedy dołączyła do walczącej Warszawy. Jej ojciec działał w konspiracji. Przed powstaniem roznosiła po mieście ulotki, nie wiedząc, na co się zanosi. Nie miała żadnego przeszkolenia medycznego, ale kiedy wszystko się zaczęło, z tą samą koleżanką, z którą ubierała lalki, zaczęła opatrywać rannych po piwnicach.

Wspomnienia są jak strzępy, ale jedno pamięta, jakby to było wczoraj. Ciągłe ma przed oczami postrzelonego chłopaczka. Próbuje go ratować ze wszystkich sił, polewa go wodą ze studni, która stoi na podwórku, ale rozbebeszony brzuch za nic nie chce przestać krwawić.

– Na drugi dzień zmarł – wspomina. – Zrobiłam potworny błąd, nie mogę sobie tego wybaczyć.

Nigdy nie zgłosiła się do odznaczeń powstańczych.

Krępowiała się, że nie zdołała uratować tamtego chłopaka.

Osy w zupie

Pierwszy na jej talencie poznał się Aleksander Ford. Do Wytworni przyszedł prosto z planu „Piątki z ulicy Barskiej”. Reżyser miał tyle nakręconego materiału, że postanowił

„Wajda zawsze dostosowywał się do jej uwag. Żadna inna montażystka w tamtym czasie nie miała tyle do powiedzenia”



FOT. MAT. PRAS./WIDEF

„Wszystko na sprzedaż”

„Montaż nie jest zawodem twórczym. Ale jest pomocniczo-twórczym”



„Panny z Wilka”

FOT. MAT. PRAS./WIDEF

„Świetnych aktorów zostawiała w całości. Tych, którzy wypadli kiepsko – podcinała”

zmontować dwie wersje filmu – z pierwszych ujęć i z drugiego negatywu, czyli z wybranych drugich dubli.

Na ekrany wybrano jej wersję, powstałą z materiałów, które normalnie byłyby odrzucone, skrawkiem.

Kilka lat później Ford zaproponował jej montaż „Krzyżaków”, ale z powodu drugiej ciąży musiała odmówić. Fordowi tak na niej zależało, że zarządził, że weźmie ze sobą na plan jej mamę i resztę rodziny. Wszystko, byleby tylko zrobiła z nim ten film.

Nie odmówiła jednak innego projektu, który chwilę później otworzył jej drzwi do kariery. Na kempingu w Mikołajkach montowała film nikomu nieznanego debiutanta – stół montażowy zajmował pół domku, druga część służyła jako kwatery.

Romek, jak go wspomina, przychodził do niej co niedziele. Ona gotowała obiad, a on wyciągał chochlą osy, które wpadały do zupy.

Tak powstał „Nóż w wodzie”.

Równoległe

Romek był przemyśły i zabawny, zarówno kiedy siedział na montażu, jak i kiedy robił udźwiękowienie we Wrocławiu. Wszystkie efekty i postsynchrony nagrywał sam. W scenie, kiedy Niemczyk uderza Malanowicza w twarz, ściągnął buty i uderzył jeden o drugi.

Podczas zdjęć potrafił być zupełnie inny. W głównej roli obsadził Jolantę Umecką, która z zawodu jest muzykolożką, a nie zawodową aktorką. Wypatrzył ją na basenie „Legii”, jak skakała do wody.

– Krzyczał na nią, a ona nie miała pojęcia, jak się zachować przed kamerą – mówi pani Halina.

O sobie mówi, że była furiatką, wariatką na punkcie swojej pracy. Kiedy w środku nocy dochodziło do niej, że nie jest z czegoś zadowolona, mąż zawoził ją do montażowni, gdzie siedziała samotnie do rana.

„Byłam montażystką Wajdy”

Najwięcej, jak podkreśla przy każdej okazji, zawdzięcza spotkaniu z Wajdą. Przedstawił ich sobie Jerzy Lipman, z którym wcześniej pracowała nad filmami Forda.

Razem zrobić mieli „Miłość dwudziestolatków”.

Z nikim wcześniej nie pracowało jej się tak dobrze. Wajda w montażowni jedynie bywał, nie ślecał jej nad głową, jak inni. Przychodził tam tylko po to, żeby zobaczyć, co ma dokręcić.

Wcześniej zdarzało się tak, że jeśli jakiś reżyser siedział z nią w montażowni, a nie daj Boże, robił kreski w miejscu, gdzie ma przyciąć taśmę, to nie wytrzymywała. Wstawiała, mówiła, że dziękuje i wychodziła. Januszowi Morgensternowi w takiej sytuacji powiedzieć miała: „ja nie podetnę, niech sobie pan sam podcina”.

Dwa razy zdarzyło się tak, że dostała od Wajdy materiał, nie wiedząc, że jest niekompletny. Montowała z tego, co dostała, a Wajda, widząc efekt, stwierdzał: „tu nie ma czego dokręcać, a przecież to jest dopiero połowa, jeszcze nie skończyliśmy zdjęć!”. Tak było ze sceną otwarcia fabryki w „Ziem



Temat numeru

...

obiecanej” i zakończeniem filmu. Obie są w stu procentach jej pomysłem. Wajda, gdy nie miał nakręconego dobrego materiału z planu, dzwonił do niej z błagalnym: „wymyśl coś”.

Ekipa często kręciła poza Warszawą, ona montowała na miejscu. Czasem dzwoniła do nich mówiąc, że brakuje ujęć w scenie: zbliżenia na rękę, na twarz. Zdarzało się, że czytała sobie dokrętek. Wajda zawsze dostosowywał się do jej uwag. Żadna inna montażystka w tamtym czasie nie miała tyle do powiedzenia.

– Montaż nie jest zawodem twórczym – mówi pani Halina. – Ale jest pomocniczo-twórczym. Pytana, jakimi narzędziami posługuje się montażystka w pracy, odpowiada: oczami. Przede wszystkim potrzebna jest pamięć wzrokowa i zdolność kojarzenia. Od razu wiedziała, co weźmie, a co wyrzuci z danego materiału. Tę samą scenę potrafiła zmontować na kilka sposobów.

Najbardziej zaskakiwało ją, kiedy Wajda dzwonił i pytał ją, jakich aktorów wziąć do filmu. Montażystki zwykle nie doradzają w takich kwestiach. Przy „Krajobrazie po bitwie” odpowiedziała mu, żeby Żydówkę zagrała Marzena Trybała. Ostatecznie aktorka odmówiła, bo nie chciała zagrać nago przed kamerą.

Świetnych aktorów zostawiała w całości, tych, którzy wypadli kiepsko – podcinała. We „Wszystko na sprzedaż” zauważyła, że Beata Tyszkiewicz wypada średnio, wycięła sceny z jej udziałem. Kiedy Wajda pytał potem, „czemu tak mało Beatki na ekranie”, pani Halina nie bawiła się w uprzejmości i powiedziała wprost: „Bo nie jest najlepsza. Daniel za to jest znakomity i robimy film na niego”.

Najwięcej problemów w całej karierze przysporzyło jej „Wesele”. Tempo pracy na planie dyktowała muzyka, która nieustannie grała z głośników podczas zdjęć. W montażu należało ciągle pilnować rytmu. Po zakończeniu zdjęć doszła jeszcze cenzura. Kazali jej wyciąć wiele dialogów, wśród nich: „Cóż tam panie w polityce” i „Chińczycy trzymają się mocno”. „Wesele” powstało chwilę po Marcu '68 i Grudniu '70. W tym czasie trwała rewolucja kulturalna w Chinach.

Przez ponad dwie dekady byli w zasadzie nierozłączni. Ciekawili ją inni polscy reżyserzy, przebiegała w propozycjach, ale czuła, że ma wobec Wajdy zobowiązanie, którego nie może zignorować. Musiała odmówić, kiedy współprace zaproponował jej choćby Jerzy Antczak.

Wszystkie wspomnienia zebrała później w książce, nad tytułem której nie myślała ponoć zbyt długo: „Byłam montażystką Wajdy”.

Panna z Wilka

Z Wajdą zrobiła w sumie dwadzieścia filmów, ale ma jeden ulubiony. „Panny z Wilka”. Bo widzi tam kawałek swojej rodziny. Wakacje spędzała u dziadka na wsi, który w pokoju trzymał ponad sto kanarków. Codziennie umierał jeden, robiła krzyż z patyków i cho-

„Platynowe Lwy postanowiła zadedykować wszystkim montażystkom i montażystom”



„Ziemia obiecana”

wała go na cmentarzu. Były też cztery ciotki, każda inna. Zupełnie jak u Iwaszkiewicza i Wajdy.

Dom stał w rynku w miasteczku Siemno. Mąż jednej z ciotek był piekarzem. Każdego dnia do domu znosił świeże bochny chleba. Do dziś pamięta ich zapach.

Inne filmy Wajdy też traktuje osobiście. „Ziemię obiecaną” montuje, kiedy jej mama

grać, siostra musiała, a mnie się udało tego uniknąć”.

Rodzina to dziś jej świat. Dzieci i wnuki, o których pięknie opowiada. Choć nie zawsze tak było. Pasja miała swoją cenę. W rozmowie z Łukaszem Knapem pani Halina wspominała, że wiecznie nie było jej w domu, że córki dużo przez to straciły. Ale trudno było zrezygnować z czegoś, co tak się lubiło.

„Jeśli reżyser siedział z nią w montażowni, to nie wytrzymała. Wstawiała, mówiła, że dziękuje i wychodziła”

leży w domu chora. Przed śmiercią zdążyła jeszcze obejrzeć, co zmontowała córka.

– Przed śmiercią mama poprosiła, żeby przekazać Wajdzie, że to jego najlepszy film – mówi pani Halina.

Pytana o rodzinę, zaczyna nową opowieść. Jednym tchem wymienia: „mama była Warszawianką z dziada pradziada. Ojciec pochodził z wioski. Kiedy miał czternaście lat, poszedł do wojska. To była jedyna szansa, żeby się stamtąd wyrwać. Ojciec pracował jako księgowy, ale grał też na skrzypcach, w domu odbywały się koncerty. Brat musiał uczyć się

Kiedy zadzwoniono do niej z festiwalu, że otrzyma nagrodę za całokształt pracy, nie mogła uwierzyć. Zawód montażysty nigdy wcześniej nie był tak honorowany. Dlatego Platynowe Lwy postanowiła zadedykować wszystkim montażystom. Żeby się nie załamywali. Żeby wierzyli, że można dojść do takich sukcesów w życiu.

– Do montażu niepotrzebny jest talent, a smykałka – podkreśla pani Halina. – Zmontować każdy potrafi, ale można zrobić to lepiej i można zrobić gorzej. Trzeba mieć serce do montażu.

24 września o godz. 13 na Scenie Kameralnej Teatru Muzycznego im. Danuty Baduszkowej w Gdyni odbędzie się masterclass poświęcony twórczości Haliny Prugar-Ketling. Krytyk filmowy Łukasz Knap oraz montażysta Rafał Listopad przyjrzą się twórczości tegorocznej laureatki Platynowych Lwów z kilku perspektyw: biograficznej, artystycznej i warsztatowej. Opowiedzą o jej życiu, metodzie pracy, stylu montażu oraz szczególnej roli, jaką odegrała w kształtowaniu języka polskiego kina. Choć Halina Prugar-Ketling nie będzie mogła uczestniczyć w wydarzeniu osobiście, masterclass stanie się formą spotkania z jej głosem, doświadczeniem i dorobkiem. Spotkanie będzie ilustrowane fragmentami najważniejszych filmów, które montowała.

Krytyka i polemiki w Gdyni

MATEUSZ DEMSKI,
REDAKTOR NACZELNY

W 1984 roku redaktorzy brytyjskiego magazynu filmowego „Screen International” dokonali rzeczy przełomowej – na jego łamach opublikowali ranking festiwalu w Cannes. Przez kolejnych czterdzieści lat wybrani krytycy filmowi z różnych stron świata oglądali i oceniali każdy film (w systemie 1-4 gwiazdek) prezentowany w konkursie głównym danej edycji festiwalu. Było to na długo przed natychmiastowymi opiniami, które pojawiły się wraz z erą mediów społecznościowych.

Ranking „Screena” wciąż budzi emocje zarówno wśród widzów, jak i twórców. Bo czy można sprowadzać czyjaś wieloletnią pracę do kilku gwiazdek? Oczywiście, że nie można. Ale czy można dokonać błyskawicznego przeglądu reakcji na najbardziej wyczekiwane filmy sezonu i zderzyć je z opiniami widzów? Można, a może nawet trzeba!

W przypadku „Screena” władze festiwalu w Cannes zauważyły, że ranking, pomimo początkowych obaw, niesie wiele korzyści. Po pierwsze – podsyca zainteresowanie tytułami, które okazywały się odkryciami, czarnymi końmi konkursu, a przy tym zachęca widzów do wizyty w kinie. Po drugie – ma realny wpływ na relacje między filmowcami a dystrybutorami.

Ranking „Screena” zawsze wydawał się wolny od koniunktury, od festiwalowych układów i znajomości. Na samym dole tabeli plasowały się filmy uznanych mistrzów – Petera Greenawaya, Gaspara Noe czy Gusa Van Santa. Nikt nie mógł liczyć na taryfę ulgową. Z drugiej strony, oceny czasem pokrywały się z ostatecznym werdyktem jury. Zestawienie „Screena” przewidziało Złotą Palmę m.in. dla Wima Wendersa za „Paryż, Teksas” czy dla Davida Lyncha za „Dziś i jutro”. Ranking ma również swój wątek polski. Krytycy jednogłośnie okrzyknęli „Trzy kolory: Czerwony” Krzysztofa Kieślowskiego najlepszym filmem 1994 roku.

Od tego roku chcemy tę tradycję zaszczyścić również w Gdyni. W drugim numerze Gazyety Festiwalowej znajdziecie ranking filmów z Konkursu Głównego i Konkursu Perspektywy, który będzie sukcesywnie uzupełniany aż do końca festiwalu (zgodnie z kolejnością pokazów premierowych, a także z harmonogramem naszych ekspertek i ekspertów).

Do oceniania zaprosiliśmy krytyczki i krytyków publikujących na łamach największych tytułów prasowych w kraju, których różni zarówno doświadczenie, wiek, jak i wrażliwość, z jaką patrzą na polskie kino. Są to: Anna Kempys (Interia.pl), Przemek Gulda („Gazeta Wyborcza”, „Wysokie Obcasy”), Michał Piepiórka (Czasopismo „Ekran”), Kuba Armata (Miesięcznik „KINO”), Alicja Nowacka („Dwutygodnik”), Janusz Wróblewski („Polityka”), Julia Palmowska („Pełna Sala”), Maciej Kędziora (Program Drugi Polskiego Radia), Marta Stańczyk (Czasopismo „Ekran”).

Nie chodzi o krytykę negatywną, a możliwość zbudowania przestrzeni dyskusji. Każdy film na tym, czy innym festiwalu jest

wystawiony na skrajne oceny, podlega hierarchizacji. Nasz ranking ma na celu to wyśrodkować i wyciągnąć średnią z nieprzerwanego potoku opinii, z jakim zderzamy się w sieci. Przede wszystkim chcemy zwrócić waszą uwagę na tytuły, które naprawdę zasługują na długie dyskusje po seansach. Część z nich ma za sobą oficjalną polską premierę, pozostałe zostaną zaprezentowane po raz pierwszy właśnie w Gdyni.

Na tym polega też magia rankingu „Screena”, do którego tradycji się odwołujemy. Oceniamy na gorąco, zgodnie z tym, co czuliśmy zaraz po wyjściu z sali kinowej. Pierwsze wrażenie jest być może tym najlepszym, bo najbardziej odruchowym, szczerym, nie podlega kalkulacji. Nie wykluczamy jednak, że oceny będą się zmieniać – może ktoś zechce dodać lub odjąć kilka gwiazdek po czasie.

I jeszcze jedno: ranking ma być również dowodem na to, że mamy prawo różnić się w swoich odczuciach. Gdyby nie te różnice, nie byłoby sensu spotykać się w Gdyni. Bez tych różnic nie ma kina.

MIASTO GDY CHCESZ ZOSTAĆ PO NAPISACH

FILM SIĘ KOŃCZY, ROZMOWY TRWAJĄ.

Invest Komfort, sponsor główny 51. FPFF w Gdyni, zaprasza do swojego punktu festiwalowego w MIASTO GDY - miejsca spotkań twórców i gości, także poza salą kinową.

**INVEST
KOMFORT**





100
GDYNIA
MIASTO FILMU

unesco
Member of
the Creative City Network



FPFF

51. FESTIWAL POLSKICH FILMÓW FABULARNYCH

21-26.09.2026 GDYNIA